



Kryminalna historia Krakowa. Bogata wdowa z domu „Pod Rakiem”

2026-08-10

Przed świtem, w chłodną październikową noc 1867 roku, spokojna kamienica „Pod Rakiem” przy ulicy Szpitalnej 7 zamieniła się w miejsce zbrodni. W ciągu kilku następnych miesięcy o tej sprawie mówiło całe miasto. Śledztwo obserwowano z zapartym tchem, relacje z procesu wypełniały łamy gazet, a na ławę oskarżonych trafił człowiek, którego nazwisko należało do jednego z najbardziej szanowanych rodów prawniczych w Galicji.

Agnieszka z Grotów Żychowiczowa miała osiemdziesiąt trzy lata. Była wdową, kobietą niezwykle majątną i jednocześnie znaną z wyjątkowej oszczędności. Jak pisał Jan Widacki w „Stuleciu krakowskich detektywów”, odziedziczyła znaczny majątek najpierw po mężu, a później po swoim bracie – proboszczu jednej z galicyjskich parafii. Pieniądzy miała tyle, że mogła pozwolić sobie na życie w największym dostatku, ale jej ogromny majątek nie przekładał się na wygodne życie. Żychowiczowa mieszkała jako sublokatorka. Nie dlatego, że musiała. Po prostu nie widziała potrzeby wydawania pieniędzy na własny dom. Kiedy gospodarze wypowiedzieli jej pokój, bez większego problemu znalazła nowe lokum.

Nowy pokój wynajęła u rodziny Korytowskich w kamienicy „Pod Rakiem” przy ulicy Szpitalnej. Był to dom należący do ludzi cieszących się w Krakowie doskonałą opinią. Korytowsky od pokoleń związani byli z wymiarem sprawiedliwości. W rodzinie nie brakowało sędziów, notariuszy i prawników, a nazwisko budziło powszechny szacunek.

W nocy z 2 na 3 października 1867 r. syna właścicieli domu, Mieczysława Korytowskiego obudziły odgłosy dochodzące zza ściany. Zaalarmował służące i razem weszli do pokoju zajmowanego przez Agnieszkę Żychowiczową. Widok, który zastali, nie pozostawiał złudzeń.

Starsza kobieta leżała martwa w łóżku. Pościel była nasiąknięta krwią. Szuflady i kufrы były pootwierane, a ich zawartość leżała na podłodze, jakby ktoś w pośpiechu szukał pieniędzy lub kosztowności. Domownicy szybko zawiadomili prokuratora i policję. Już około szóstej rano na miejscu pojawili się prokurator rządowy, sędzia śledczy oraz dwaj lekarze. Oględziny prowadzono z niezwykłą, jak na połowę XIX wieku dokładnością.

Na głowie staruszki znajdowała się rozległa rana tłuczona. Część ucha została niemal odcięta. Na szyi widoczne były wyraźne ślady ucisku palców. Dłonie nosiły liczne obrażenia świadczące o rozpaczliwej próbie obrony. Między zaciśniętymi palcami zabezpieczono kilka włosów.

Sekcja zwłok potwierdziła przypuszczenia lekarzy. Agnieszka Żychowiczowa nie zginęła od samego uderzenia w głowę. Najpierw została brutalnie zaatakowana ciężkim tępym narzędziem, później duszona. Układ obrażeń dużo mówił o ostatnich minutach życia staruszki. Na podstawie śladów dało się odtworzyć przebieg całego ataku. Ofiara została napadnięta we śnie, przebudziła się po pierwszym ciosie i rozpaczliwie walczyła z napastnikiem. Chwytała go za ręce i włosy, próbowała odsunąć zaciskające się na szyi palce, lecz nie miała żadnych szans.



W pierwszych godzinach po odkryciu zbrodni nikt jeszcze nie zastanawiał się, kto zabił Agnieszkę Żychowiczową. Znacznie ważniejsze wydawało się inne pytanie: jak morderca dostał się do pokoju? To właśnie od odpowiedzi na to pytanie zależał dalszy kierunek śledztwa.

Pomieszczenie znajdowało się od frontu kamienicy i miało dwa okna wychodzące na ulicę. Jedno skrzydło okienne było otwarte. Na parapecie leżała zwinięta watowana kołdra. Początkowo mogło się wydawać, że właśnie tędy dostał się sprawca. Bardzo szybko okazało się jednak, że taka wersja wydarzeń budzi poważne wątpliwości. Pod oknem nie było żadnych śladów, a na parapecie leżały drobne przedmioty, których nikt nie stracił. Nie znaleziono też śladów sforsowania okna od zewnątrz. Wszystko wskazywało raczej na to, że ktoś otworzył je już po dokonaniu zbrodni, próbując upozorować ucieczkę.

Trop prowadzi do domowników

Im dłużej jednak śledczy przyglądali się miejscu zbrodni, tym bardziej ta wersja zaczynała się rozpadać. Kamienica „Pod Rakiem” stała przy ruchliwej ulicy Szpitalnej, na jednym z głównych traktów prowadzących z dworca kolejowego do Rynku Głównego. Nawet nocą był tu ruch. Przed domem paliły się latarnie gazowe. Trudno było uwierzyć, że ktoś przystawił wysoką drabinę do okna od frontu, wspiął się na piętro niezauważony.

Strażnik nocny, obchodzący ulicę około północy zeznał, że wszystkie okna kamienicy były zamknięte. Dopiero podczas kolejnego obchodu, około wpół do drugiej, zauważył otwarte okno pokoju zajmowanego przez Żychowiczową. Śledczy doszli do wniosku, że okno najprawdopodobniej zostało otwarte już po zabójstwie. Nie po to, by tędy uciec, lecz po to, by stworzyć wrażenie włamania z zewnątrz.

Pozostawały jeszcze drzwi. Pokój Agnieszki Żychowiczowej miał dwa wejścia. Jedno prowadziło do salonu, drugie do niewielkiego przedpokoju. Te drugie drzwi były jednak zamknięte od środka na haczyk. Policjanci długo analizowali możliwość, że sprawca wszedł właśnie tamtędy, a następnie jakoś zamknął drzwi po swojej ucieczce. Nie znaleziono jednak sposobu, w jaki mógłby to zrobić.

Pozostawało więc tylko jedno wejście. Przez salon. A skoro tak, sprawca musiał znajdować się już wcześniej w mieszkaniu. Jeszcze kilka godzin wcześniej policja szukała nieznanego włamywacza. Teraz coraz więcej wskazywało na to, że zabójca należał do domowników albo przynajmniej był osobą dobrze znającą układ mieszkania. To była niezwykle odważna hipoteza.

Rodzina Korytowskich uchodziła przecież za jedną z najbardziej szanowanych w Krakowie. Trudno było znaleźć ród cieszący się lepszą opinią. Korytowscy od pokoleń związani byli z sądownictwem. W rodzinie byli sędziowie, notariusze i urzędnicy wymiaru sprawiedliwości. Część krewnych nosiła nawet tytuły hrabiowskie. W krakowskich salonach nazwisko to otwierało wiele drzwi. Myśl, że morderca może wywodzić się właśnie z tego domu, wydawała się niemal bluźnierstwem.

Pierwsze wątpliwości wzbudziły zeznania Mieczysława Korytowskiego. To właśnie on jako pierwszy miał usłyszeć podejrzane odgłosy z pokoju staruszki. To on obudził służące. To on pobiegł po pomoc. Problem polegał na tym, że jego relacja nie do końca zgadzała się z ustaleniami śledczych. Twierdził, że zbudziły go jakieś hałasy dochodzące zza ściany. Dlatego ruszył po służących.



Jeżeli jednak przyjąć, że morderca wyszedł z pokoju przez salon, to musiał minąć właśnie miejsce, w którym spał Mieczysław. Dlaczego więc się nie spotkali?

Kim był młody Korytowski?

Nie przypominał ojca ani starszego brata, którzy robili kariery prawnicze. Mieczysław rozpoczął naukę w gimnazjum, ale szybko ją przerwał. Kolejne szkoły również porzucał. Zamiast studiować, wolał życie towarzyskie. Żył ponad stan i nie potrafił znaleźć sobie stałego zajęcia

Los zdawał się jednak do niego uśmiechać. Poznał Bronisławę Koźmińską – jedyną córkę zamożnego ziemianina Konstantego Koźmińskiego. Dziewczyna miała w przyszłości odziedziczyć pokaźny majątek. Ojciec postawił jednak przyszłemu zięciowi jeden warunek: zanim dojdzie do ślubu, Mieczysław musi zapewnić sobie własny majątek i źródło utrzymania.

Młody Korytowski postanowił więc kupić gospodarstwo, ale długi rosły z miesiąca na miesiąc. Wierzyciele zaczęli domagać się spłaty zobowiązań, a dochody okazały się znacznie niższe, niż przewidywał. Zamiast stać się właścicielem dobrze prosperującego majątku, znalazł się na skraju finansowej katastrofy.

Śledczy bardzo dokładnie odtworzyli później jego sytuację materialną. Wynikało z niej jasno, że jesienią 1867 roku Mieczysław praktycznie nie miał już zdolności regulowania swoich zobowiązań. Każdy kolejny tydzień przynosił nowe wezwania do zapłaty. Ale wkrótce po zabójstwie Agnieszki Żychowiczowej sytuacja młodego Korytowskiego zaczęła się gwałtownie poprawiać.

Śledczy ustalili, że niemal natychmiast po zbrodni Mieczysław zaczął regulować zaległe należności. Spłacał wierzycieli, oddawał pożyczone wcześniej kwoty i przestał narzekać na brak gotówki.

Skąd pochodziły pieniądze? To pytanie powracało podczas niemal każdego przesłuchania. Korytowski tłumaczył, że otrzymał wsparcie od rodziny i znajomych. Przedstawiał kolejne wyjaśnienia, jednak żadne z nich nie przekonało śledczych. Im więcej pytań zadawano, tym więcej pojawiała się nieścisłości.

Jednocześnie potwierdziło się, że z pokoju Agnieszki Żychowiczowej zniknęły znaczne sumy pieniędzy oraz część papierów wartościowych. Staruszka była znana z tego, że nie ufała bankom i znaczną część majątku przechowywała przy sobie. Po zabójstwie część oszczędności odnaleziono, ale brakowało kwoty na tyle dużej, że mogła odmienić sytuację finansową zadłużonego człowieka.

Nie był to jeszcze dowód. Był to jednak bardzo wyraźny motyw.

W drugiej połowie XIX wieku kryminalistyka dopiero się rodziła. Policjanci nie dysponowali daktyloskopią, nie potrafili zabezpieczać materiału biologicznego, nie znali badań DNA. Musieli budować sprawę z drobnych faktów, które osobno znaczyły niewiele, ale razem zaczynały tworzyć spójną całość. Tak było również w tej sprawie.

Jedną z pierwszych rzeczy znalezionych u Mieczysława był wytrych. Nie był to przedmiot, który przesądzał o winie. Wytrychy posiadali ślusarze, rzemieślnicy czy zarządcy majątków. Problem polegał



na tym, że narzędzie pasowało do zamków znajdujących się w pokoju zamordowanej. Śledczy uznali, że mogło posłużyć do otwierania szuflad i schowków, w których Żychowiczowa przechowywała pieniądze.

Kolejne znaczenie miały wyniki oględzin ciała. Pod paznokciami staruszki znajdowały się włosy wyrwane napastnikowi podczas szamotaniny. Dziś można byłoby porównać ich materiał genetyczny z DNA podejrzanego. W 1867 roku było to niemożliwe. Lekarze mogli jedynie określić ich długość, kolor i budowę. A to nie dawało pewności.

Podobnie oceniono obrażenia znajdujące się na rękach Mieczysława. Tłumaczył je przypadkowymi otarciami, jednak lekarze nie wykluczali, że mogły powstać podczas walki z ofiarą.

Żaden z tych elementów sam w sobie nie wystarczał do postawienia zarzutu. Razem zaczynały jednak tworzyć obraz człowieka, który miał motyw, sposobność i narzędzia potrzebne do dokonania zbrodni.

Śledczy nie znaleźli twardego dowodu

Z perspektywy współczesnego procesu karnego ta sprawa wydaje się zaskakująca: nie odnaleziono narzędzia zbrodni, nie było świadków, nikt nie widział momentu zabójstwa i nie znaleziono pieniędzy należących do Agnieszki Żychowiczowej.

Jednak po trzech miesiącach pracy c.k. Prokuratoria uznała, że zgromadzony materiał wystarcza do postawienia Mieczysława Korytowskiego przed Sądem Krajowym w Krakowie. Zarzut był niezwykle poważny - rozbójnicze skrytobójstwo Agnieszki z Grotów Żychowiczowej.

Proces rozpoczął się 27 lutego 1868 roku. Od pierwszego dnia było jasne, że nie będzie to zwykła sprawa karna. Na ławie oskarżonych siedział syn szanowanego sędziego, człowiek pochodzący z dobrego domu, przeciwko któremu nie znaleziono ani narzędzia zbrodni, ani świadka, który widziałby go w pokoju zamordowanej. Całe oskarżenie opierało się na poszlakach. Prokurator przekonywał, że razem tworzą zamknięty i logiczny łańcuch. Obrona odpowiadała, że każdą z nich można wyjaśnić w inny sposób.

Rozprawy odbywały się niemal codziennie. W ciągu zaledwie półtora miesiąca sąd odbył szesnaście posiedzeń, przesłuchał świadków, zapoznał się z opiniami biegłych i wysłuchał argumentów obu stron. Po zakończeniu przewodu sądowego sędziowie udali się na naradę.

Już 6 marca zapadł wyrok sądu pierwszej instancji. Od zbrodni do prawomocnego rozstrzygnięcia w trzeciej instancji minęło niespełna jedenaście miesięcy.

Mieczysław Korytowski został uznany za winnego i skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Wyrok nie zakończył jednak postępowania i nie zadowolił żadnej ze stron. Odwołała się zarówno obrona, przekonana o niewinności oskarżonego, jak i prokuratura, która domagała się surowszego rozstrzygnięcia. Ostatecznie sprawa trafiła aż przed Najwyższy Trybunał Sądowy w Wiedniu. 9 września 1868 roku sąd utrzymał wcześniejszy wyrok, kończąc jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych dziewiętnastowiecznego Krakowa.